

Prezes publicznego radia zdjął naszą audycję. Powiedział: Ta muzyka jest nikomu niepotrzebna

21.06.2023

Jarek Szubrycht

Pewien artysta powiedział mi, że gdyby wiedział, że jestem satanistą, nie zgodziłby się na wydanie u mnie płyty - wspomina Janusz Mucha z Gusstaff Records.

Jak on to robi, że mimo krachu fonografii nieprzerwanie od 25 lat wypuszcza płyty z tak nieszablonową muzyką?

Jeśli ktoś ma w kolekcji płyty z nalepką zielonogórskiej oficyny Gusstaff Records, można założyć, że to osobnik o ogromnym i zarazem wyrafinowanym muzycznym apetycie. Działająca od 25 lat wytwórnia sprowadziła do Polski mnóstwo intrygujących dźwięków, ale też współpracuje z rodzimymi twórcami, nie bojąc się śmiałków i oryginałów, by wymienić choćby Mikołaja Trzaskę, Kristen, Jacaszka czy Kurws.

 wyborcza.pl



Na tegorocznej edycji świetnego lubelskiego festiwalu Wschód Kultury – Inne Brzmienia (6-9 lipca) obchodzić będziemy huczny jubileusz Gusstaffa, uświetniony koncertami grup związanych z wytwórnią: To Rococo Rot, Dead Cat In A Bag, Atol Atol Atol, Szorstkie i Tuleje.

Na Innych Brzmieniach zagrają także m.in. Ladytron, Whispering Sons, Nuha Ruby Ra, Contemporary Noise Ensemble oraz jak zawsze cała armada wykonawców ze wschodniej Europy.

Jarek Szubrycht: Wymyśliłeś kiedyś, że płyty wydawane przez Gusstaff Records zawierają "muzykę (nie)potrzebną". Rozumiem ironię tego szyldu, ale to i tak marketingowo ryzykowny ruch.

Janusz Mucha, szef Gusstaff Records: Zapisałem "nie" w nawiasie, żeby podkreślić tę ironię, może nawet autoironię. Zdaję sobie sprawę z tego, że nie jest to muzyka masowa i nie każdemu jest potrzebna.

To hasło nie wzięło się znikąd. Prowadziłem kiedyś w Radiu Zachód audycję z Hubertem Kostkiewiczem - do niedawna w zespole Kurws, obecnie m.in. Atol Atol Atol - ale została ona zdjęta z anteny. Ówczesny prezes powiedział nam wprost, że ta muzyka jest nikomu niepotrzebna.

Po co tobie ćwierć wieku temu potrzebna była wytwórnia płytowa?

- Była końcówka lat 90., więc przed młodym człowiekiem świeżo po germanistyce teoretycznie otwierały się szerokie możliwości. Pracowałem w kilku miejscach, najdłużej w dziale eksportu pewnej zielonogórskiej firmy, ale moje muzyczne hobby coraz bardziej mnie wciągało. Musiałem wybierać: albo zostanę w tej swojej minikorporacji, albo podejmę pracę na własny rachunek. Wybrałem to drugie, w czym trochę pomógł mi mój ówczesny szef, stawiając pewne ultimatum. Wybrałem opcję, w której nie mam szefa i sam decyduję, co robię, kiedy i jak.

Chciałem robić to, co mi sprawia frajdę, zamiast sprzedawania Niemcom i Austriakom rzeczy, które mnie zupełnie nie interesują.

Zakładając Gusstaff Records, próbowałeś jakoś zdiagnozować potrzeby polskiego rynku?

- W latach 90. zwykły Kowalski nie miał jeszcze dostępu do internetu, więc trudno było nie tylko o samą muzykę niezależną, ale nawet o informacje o niej. Moim pierwszym kontaktem z tzw. branżą był fanzin "Korek", założony przez mojego przyjaciela Igora Pietrzykowskiego w Wołowie pod Wrocławiem. Traktował głównie o scenie zagranicznej, o której w Polsce niewielu miało pojęcie. Trochę do tego zina pisałem, pomagałem w dystrybucji, ale najważniejszym moim wkładem było dodanie kasety z nagraniami zespołów, o których pisaliśmy w numerze. Napisaliśmy listy do wybranych wytwórni i zespołów i te, które się zgodziły, znalazły się na wydawnictwie. Przekonałem się, że w ogóle można to zrobić.

Zajmowałem się też dystrybucją płyt, głównie z niemieckich wytwórni, i tak narodził się pomysł na wydawanie kaset licencyjnych.

Kasety, najpierw piraty, później licencyjne, zbudowały potęgę polskiego undergroundu.

- Lata 90. to były złote czasy kaset - winyle już były w odstawce, płyt CD sprzedawało się mało, więc kaseca była podstawowym nośnikiem, bo tanim i łatwym w produkcji.

Pierwszym tytułem - wydanym jeszcze pod szyldem Korek/Gusstaff - była "Veiculo" To Rococo Rot. Ukazała się szybko, najwyżej dwa miesiące po premierze płyty w Niemczech, po czym zaprosiliśmy zespół do Polski.

Pierwszy koncert odbył się w Zielonej Górze i choć nasze możliwości promocyjne były wówczas niemal zerowe, wiele osób dowiedziało się o nim pocztą pantoflową. Ludzie przyjechali z całej Polski i już znali te kawałki z wydanej raptem kilka tygodni wcześniej kasety. Pierwszy strzał się udał, więc działaliśmy dalej, wydając kolejne tytuły, zaczynając od współpracy z berlińskimi wytwórniami City Slang i Kitty-Yo.

Po jakimś czasie zaczęli się do nas odzywać artyści krajowi. Pierwszym był Marcin Witkowski, czyli N-Noiz. Nie miałem żadnego planu, wszystko rozwijało się naturalnie, w swoim tempie i nie wiedziałem, do czego mnie to doprowadzi. Ostrzegano mnie, że to się nie sprzeda, że w Polsce nie ma rynku na taką muzykę, że za wcześnie, ale okazało się, że zainteresowanie rosło.

Zielona Góra to z perspektywy Warszawy prowincja, za to mieszkasz bardzo blisko Niemiec. Dzięki temu w ofercie Gusstaffa zawsze było sporo niezależnej muzyki niemieckiej, w Polsce wcześniej prawie niedostępnej, a także z innych części świata, ale wydawanej przez niemieckie wytwórnie.

- Zacząłem od niemieckich wytwórni, bo na germanistyce pisałem pracę magisterską o języku niemieckich fanzinów na przykładzie "ZAP!". To było pismo anarchistyczno-punkowo-hardcore'owe, trochę w stylu naszego "QQRyQ", dzięki któremu poznałem tamtejsze okółpunkowe dystrybucje i wytwórnie. Zacząłem od nich ściągać płyty dla siebie i znajomych, z czasem kręgi zainteresowanych robiły się coraz szersze.

Z Zielonej Góry do Berlina mam rzeczywiście znacznie bliżej niż do Warszawy, więc moje kontakty z berlińskimi labelami były coraz częstsze i bardziej intensywne. Nie byłem w stanie reprezentować w Polsce wszystkich, wybierałem te, które wydawały mi się najbardziej interesujące.

Większość wytwórni niezależnych szczyli się jasno sprecyzowanym profilem gatunkowym. Gusstafa w ten sposób nie da się określić.

- Muzyka dzieli się dla mnie nie na gatunki, ale na nudną i ciekawą. Wydaję tylko takie płyty, których sam chciałbym słuchać, a słucham bardzo różnych rzeczy, i nie wyobrażam sobie, że mógłbym ograniczać się tylko do punk rocka, tylko do elektroniki czy tylko do jazzu.

W ten sposób mogę też docierać do szerszych kręgów odbiorców. Może to trudniejsze, bo trzeba grać na kilku fortepianach, ale inaczej nie potrafię. Poza tym mój gust się zmienia i rozszerza, stąd tak duży rozstrzał stylistyczny, widoczny szczególnie w ostatnich latach.

Nie szukasz aktywnie artystów, raczej odpowiadasz na propozycje współpracy. Liczy się tylko muzyka czy musicie się też polubić?

- Muzyka to podstawowe kryterium, bo często wydaję debiutantów, a więc ludzi, których nie miałem okazji poznać. Kieruję się też intuicją, która czasem mnie ostrzega. Nie mogę się porozumieć z tymi ludźmi, nadajemy na innych falach - wtedy zdarza mi się odpuścić, mimo fajnej muzyki. Kiedy ktoś pisze w pierwszym liście, że chciałby, żebym "zaopiekował się jego karierą", natychmiast zapala mi się lampka ostrzegawcza. Nie jestem odpowiednią osobą do dbania o kariery. Mogę wydać płytę, wprowadzić ją na rynek, zrobić promocję, ale prowadzenie karier, obowiązki menedżerskie czy podpowiedzi, jak artysta powinien wyglądać, zostawiam innym.

Nie ingeruję też w zawartość płyt. Albo coś jest dla mnie stuprocentowo akceptowalne, albo nie pracujemy razem. Moja działalność wydawnicza jest zerojedynkowa, bo nie chcę wpływać na artystów, nie chcę, żeby zmieniali coś pod moje dyktando. Na szczęście artyści, którzy się ze mną kontaktują, najczęściej wiedzą, jak to wygląda, i nie oczekują, że będę ich traktował jak jakiś Warner czy Universal.

Musicie też wyznawać te same wartości?

- Nie pytam artystów o poglądy polityczne. Jeżeli jednak zauważę, że ktoś angażuje się w akcje radykalnej prawicy, prezentuje postawy nacjonalistyczne czy homofobiczne, to dla mnie jednoznaczny sygnał, że nie jest nam po drodze. Nie chcę marnować swojego czasu na kontakty z ludźmi stojącymi po złej stronie mocy.

Z drugiej strony prawie nie ma w twoim katalogu artystów jednoznacznie formułujących poglądy polityczne czy społeczne. Nie wierzysz, że muzyka może kształtować rzeczywistość?

- Wierzę. Tak się jednak składa, że ci otwarcie zaangażowani muzycy związani są przede wszystkim ze sceną punkową, której reprezentacja w Gusstaff Records jest stosunkowo nieliczna. Zdarzają się wyjątki. Przykładem specjalna siedmiocalówka Dezertera z utworem "Idi", polityczna i zaangażowana w sprawę ukraińską albo siedmiocalówka Hańby! z piosenką o zabójstwie Narutowicza.

Lata temu wydałem też płytę "Cyber Music Against Racism", na której zespoły z szeroko pojmowanej sceny elektronicznej dały po jednym kawałku na składankę, z której dochód wspomógł działalność Stowarzyszenia "Nigdy Więcej". Doceniam muzykę, która ma przekaz, ale jeżeli przyjrzy się katalogowi Gusstaff Records, zauważysz, że to w większości płyty instrumentalne, a w samej muzyce dużo trudniej zawrzeć łatwo rozpoznawalne idee.

Jubileusz sprzyja podsumowaniom - powiedz, co po tych 25 latach uważasz za największy sukces Gusstaffa?

- Sukcesem jest dla mnie każda płyta, którą wydaję, z każdej cieszę się jak dziecko. Oczywiście, były też wydarzenia, które szczególnie zapamiętałem. Na przykład pierwszy polski koncert zespołu The Residents, który zorganizowałem dwa dni przed 11 września 2001 r. Za takimi produkcjami stoją przeważnie wieloosobowe zespoły, ja porwałem się na to w pojedynkę, na szczęście z dużą pomocą małżonki i przyjaciół. Udało się, ale nie chciałem już organizować koncertów o podobnej skali, bo doszedłem do wniosku, że to zajmuje zbyt dużo czasu i związane jest ze stresem, którego wolałem unikać.

Za bardzo duży sukces uważam też to, że wydaję płyty - nie tylko na Polskę, na cały świat - takich artystów jak Hugo Race [australijski wokalista i gitarzysta, niegdyś współpracownik Nicka Cave'a]. Byłem jego fanem jeszcze w latach 90. i marzyłem o tym, żeby kiedyś trafić na jego koncert. Okazało się, że nie tylko udało mi się go zobaczyć, ale później sam organizowałem mu koncerty i zacząłem wydawać jego płyty. Z fana przekształciłem się w partnera - to wielka satysfakcja.

Rozczarowania też się pewnie zdarzały.

- Momenty zwątpienia związane bywały przede wszystkim z kryzysami finansowymi. Kilkanaście lat temu płyty CD praktycznie przestały się sprzedawać i zastanawiałem się, czy prowadzenie wytwórni jeszcze ma sens, ale wciąż nie widziałem się w innym zawodzie. Wysłałem co prawda CV do kilku firm, na szczęście nikt nie był zainteresowany, więc jakoś musiałem sobie poradzić.

Rozczarowań artystycznych nie było, jestem dumny z każdej płyty, którą wydałem. Miałem natomiast pewne smutne doświadczenia z kilkoma muzykami, z ich reakcjami na pewne moje aktywności. Trudno, nie muszę każdego artysty trzymać przy sobie, nie podpisujemy wieloletnich kontraktów, więc po prostu się rozstaliśmy.

To brzmi bardzo enigmatycznie. O jakich aktywnościach i ich następstwach mowa?

- Jeżeli powiem o co chodziło, ten artysta domyśli się, że o nim mowa... Zresztą i tak to wie (śmiech).

Zrobiłem kiedyś dużą aukcję winylowych test pressów [testowych tłoczeń płyt winylowych], które są łakomym kąskiem dla kolekcjonerów. Całość dochodu z tej sprzedaży przeznaczyłem na rzecz Ogólnopolskiego Strajku Kobiet. Jeden z artystów się obraził. Nie podobało mu się, że licytowałem również jego płytę, bo powinienem był wiedzieć, że ma inne poglądy na kwestie aborcji, wiary itd. Uznałem jednak, że mój egzemplarz płyty jest moją własnością, nie oddawałem przecież na aukcję jego praw do muzyki, tylko przedmiot. Nasze kontakty uległy wtedy ochłodzeniu i zakończyliśmy współpracę. Inny artysta poinformował mnie z kolei, że

gdyby wiedział, że jestem satanistą, nie zgodziłby się na wydanie u mnie płyty. Tego nawet nie będę komentował.

Po co w 2023 r. artystom małe wytwórnie płytowe?

- Też się nad tym zastanawiam. Dzięki współczesnej technologii można łatwo nagrać materiał i samodzielnie wstawić do wszystkich serwisów cyfrowych. Wciąż jednak istnieje grupa odbiorców - i mam wrażenie, że w ostatnim czasie się powiększa - doceniająca nośnik fizyczny. Moją rolą jest nie tylko jego wyprodukowanie, lecz także umieszczenie w określonym kontekście, na który składają się tytuły dotychczas przeze mnie wydane. Artyści widzą w tym wartość. Dostrzegają i doceniają wytwórnię, które robią rzeczy ich zdaniem wartościowe i znaczek takiej wytwórni na ich płycie nie jest bez znaczenia.

Nośniki się zmieniają. Zaczynałeś w epoce kasy magnetofonowej, później rządziły kompaktki, następnie wróciły winyle. Te ostatnie nie tylko zamawiasz w tłoczniach, ale też produkujesz własnoręcznie, w technologii lathe-cut. Chcieliśmy sfotografować ten proces, ale nie zgodziłeś się.

- Między wycinaczami panuje niepisana umowa, że nie upubliczniemy wszystkich aspektów naszej pracy, za to chętnie o tym opowiem. Po powrocie winyla, który kilka lat temu osiągnął swoje apogeum, w tłoczniach zrobiły się coraz dłuższe kolejki. W dodatku oferty zrobienia małych nakładów bywały odrzucane, bo bardziej opłacało się produkować dla majorsów kilka tysięcy egzemplarzy reedycji płyt Pink Floyd czy Led Zeppelin. Znalazłem kiedyś w internecie informację o maszynie, która nagrywa płyty winylowe w czasie rzeczywistym. Postanowiłem kupić sobie taką, by wydawać na winylu wszystko, co mi się zamarzy. Pojechałem do niemieckiego producenta urządzenia, gdzie odbyłem jednodniowe szkolenie i... wróciłem do domu przerażony. Dowiedziałem się, jak wielu rzeczy nie wiem. Mimo to powołałem do życia specjalny sublabel, który nazwałem Don't Sit On My Vinyl, w którym zajmuję się wycinaniem płyt w niskich nakładach.

Robię to już od pięciu lat i cytując pewnego znanego polityka, cały czas się uczę, udoskonalam ten proces. To żmudna praca, ale cieszy, bo jestem niezależny nie tylko repertuarowo, lecz także produkcyjnie. W dodatku powróciłem do modelu totalnego do it yourself. Wszystkie płyty - kompaktki zresztą też - przechodzą przez ręce moje, ewentualnie małżonki. Można powiedzieć, że Gusstaff Records to manufaktura.

J. Szubrycht: „Prezes publicznego radia zdjął naszą audycję. Powiedział: Ta muzyka jest nikomu niepotrzebna» [wywiad z Januszem Muchą]. Wyborcza.pl, 21.06.2023.

<https://wyborcza.pl/7,113768,29892006,25-lat-gusstaff-records-moja-dzialalnosc-wydawnicza-jest-zerojedynkowa.html>